



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



### Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

Minał dzień długi, żałobny Sabatu,  
A mdłe promyki wstającego słońca,  
W przejrzystych chmurach łamiąc się  
[bez końca,  
Jaskrawym wschodem zamignęły światu.  
Ziemia pogodna w uroczym natchnieniu,  
Wonnością pienie nuciła po pieniu,  
I była jako Chrystus w tej godzinie,  
Gdy chleb rozdawał, krew uświęcał  
[w winie.

I było głucho — w Jeruzalem spali  
Lud i kapłani i Faryzeusze —  
A spali twardo, jak twarde ich dusze,  
I w snach Chrystusa jeszcze krzyżowali,  
Coraz to nowem, straszniejszym cierpieniem,  
Bo czarną myślą i czarnem sumieniem.  
I było głucho. Ale coś szeleści,  
I coś się miga na Kalwaryi górze —  
To, jakby ptaszek szybujący w chmurze,

Tak zlekka płynie cudny kształt niewieści,  
To jak ogrodów azyatyckich róże,  
Taki się szkarłat na jej licach mieści —  
To jak lilii bieluchne zawoje,  
Wiotka jej postać i śnieżne jej stroje.  
Ale jej cudne lazurowe oczy  
Błysnęły łzami — tym skruchy obrazem,  
A gładkie czoło z pod złotych warkoczy,  
Bije żaloby ponurym wyrazem.  
Ona tak piękna, tak posępna razem,  
Jak babilońska wierzba, gdy roztoczy,  
Wkoło płaczące gałązki ku ziemi,  
I swoją kibić wzniesie między niemi.  
I szła ku grocie — a za nią powoli  
Dążyli męże. Jeden starszy laty,  
Schyliwszy głowę, rzucał wzrok sokoli  
Na wonne ziemi palestyńskiej kwiaty,  
Na wrzące piaski i dzikich skał szmaty.  
Drugi szedł przy nim, a ledwo puch młody  
Posypał jego młodzieńcze jagody,  
Gdy mu już z oka zamglonego łzami,  
Wygląda rozum mężki i dojrzały;  
Bo w jego czaszce nie wiatry świstały,  
Lecz pająk myśli, dumania siatkami,  
Łowi pojęcia, goni za prawdami.

A owi męże są błogosławieni,  
Bo to Piotr Szymon i uczeń Szymona,  
I owa dziewczka jest błogosławiona,  
Która niebiańską urodą promieni,  
Bo to pokutna Magdalena święta.  
I szli w milczeniu — a ścieżka ich kręta  
Wiodła do grotty. — Oni nieśli dzbany  
Drogich olejków balsamicznej woni,



Aby je rozlać na umarłej skroni,  
By niemi ciężkie ponamaszczać rany.

I już stanęli — Pochylili głowy  
Naprzód z podziwem — bo z grobu sklepienia  
Był odwalony wielki głaz grobowy,  
A wśród pieczary szarawego cienia,  
Świecił się tylko płat biały, szeroki,  
Który obwijał dawniej Pańskie zwłoki.  
Lecz ciało znikło — Mężę się zdumieli,  
Długo płakali, cudu nie pojęli,  
I już do domu powracali smutni,  
Myśląc że ciało Rzymianie okrutni  
Lub chytry Żydzi, nocą z grobu wzięli.  
Lecz Magdalena z nadziejskim natchnieniem,  
Dumając, klęczy nad groty sklepieniem,  
I czegoś czeka — i do grobu skłania  
Białe swe czoło, aż złotym promieniem  
Ze śmiertelnego Chrystusa posłania  
Błysły dwa duchy anielskim wejrzeniem,  
I oba takie podniosły wołania:  
„Niewiasto! nie płacz, lecz podźwignij ducha,  
A ujrysz Boga, a Bóg cię wysłucha!  
I wnet ją zapał ogarnął proroczy,  
I jasne w niebo już zwróciła oczy,  
I z serca biciem, w radosnem weselu  
Pojęła wielkie Zmartwychwstanie Pana,  
I święte jego ścisłała kolana,  
I powtarzała: Witaj Zbawicielu!  
A Chrystus wyrzekł: Witaj mi zbawiona!

A. C.

## KSIĄŻECZKA WŁADZIA,

p. Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Możeby poszła z tą prośbą do dyrektora — rzekła matka Ludwisia.

— Jeszczeby też tego brakowało, żeby pani dobrodziejka za takim urwisem się fatygowała. Zresztą, pan dyrektor i tak, co będzie uważał za najłagodniejsze, to zrobi — rzekł, usiłując się wydostać z przedpokoju.

— Ale pan profesor nie będzie głosował za wypędzeniem — rzekła jeszcze przytrzymując nauczyciela.

— Pani dobrodziejko, przecież nie jestem żadnym Herodem — robi się to jakoś, robi, że będzie wilk syty i koza cała.

I wymknął się nareszcie bardzo zadowolony z całego obrotu rzeczy.

— Temu nic, przyjdzie wkrótce do szkoły, a dobrym zdaje się będzie uczniem... a i tamten urwis nie zmarnuje się, ma zdolności, może być z niego człowiek. Ba, i dla klasy zakała gdy się z niej ucznia wypęda. Tak, wypędzić go nie wypęda, ale trzeba żeby surową otrzymał karę — myślał sobie, przechodząc tłumnie jak zwykle w święto ulice.

Przez cały jednak tydzień nie uważał zupełnie na Władzia, — przy czytaniu listy uczniów i sprawdzania, czy wszyscy są w klasie, opuszczał jego nazwisko, jak gdyby rzeczywiście chłopiec już nie należał do grona młodzieży szkolnej. Wszystko to ogromnie nurtowało Władzia, zaprzestał swoich żartów i figłów, ulica przez którą przechodził nie była niepokojona jego psotami, niejedna przekupka mówiła nawet sobie:

— Bogu dzięki licha gdzieś wzięło tego wisusa!

Na lekcjach siedział wpatrzony w katedrę, nie stracił ani słówka z wykładu profesora, a chociaż żaden nauczyciel nie zwracał nań uwagi i o nic nie pytał, — on jednak każdą lekcję doskonale starał się zrozumieć, aby mózdz potem wytłómaczyć Ludwisiowi, jak mu to solennie obiecał. Gdy koledzy chcieli go wciągnąć do jakich figłów podczas lekcji, marszczył brwi, potrząsał głową, dając im tem najwyraźniej poznać że nie ma ochoty do niczego należeć.

Po lekcjach dokazywał, bo żywość jego wrodzona brała górę nad silnem postanowieniem jakie sobie zrobił. Czasem brała go ochota coś splatać, raz nawet przyniósł kawałek mydła i miał niem wysmarować schody katedry, żeby się profesor wchodząc poślizgnął, innym razem rozlał atrament na fotelu, gdzie miał siedzieć profesor, a w kałamarz nalał brudnej cuchnącej wody. Zdażył jednak zetrzeć fotel, kałamarz napełnić atramentem przed przyjściem profesora, mydło zaś, wracając ze szkoły, dał przechodzącemu chłopcu od ślusarza, mówiąc:

— Weź, umyj się.

Z kolegami podczas pauzy dokazywał, inaczéj punkt jego honoru byłby ucierpiał. Przebąkiwano już bowiem, że kiedy z Władzia robi się taki safandula, trzeba będzie obrać innego dowódcę.

— Oho, na to nie pozwolę! — pomyślał sobie. Póki będę w szkołach, dowództwa się nie zrzeknę! Zaraz téż podczas pauzy wyłożył im nowy sposób gry w śnieżki i zdobywania fortecy, do czego tymczasowo posłużył śnieg zniesiony na jedno miejsce, prawdziwa zabawa zaś miała się odbyć przy stawie, gdzie zwykle chodzili na ślizgawkę.

Mimo jednak téj chwilowej wesołości, w gruncie rzeczy ciągle się trapił tem umyślnem pomijaniem go przez profesorów. Nietylko bowiem na lekcjach nie zważano na niego, ale nawet, gdy kto zrobił psotę, nie pytano się jak dawniej, że to pewnie Władzio musiał być do tego przewodnikiem. Gdy się zaś uklonił któremu z profesorów, ten udawał, że ukłonu nie widzi.

Wprawdzie koledzy pocieszali go:

— Toś ty dopiero szczęśliwy, upiecze ci się na pewno, już dziesięć dni i nic!

— Dajcie mi spokój ze szczęściem. Wolałbym żeby mnie na dwadzieścia cztery godzin wpakowali o chleb i wodzie, niż to co mnie spotyka — dodał niechętnie.

— A może i coś gorszego spotka — rzucił ktoś półgłosem. Władzio obejrzał się, chcąc tego puszczyka co zle wywoływał doraźnie ukarać, — nie mógł jednak na razie odgadnąć co to za śmiałek. Ze zaś ozwał się dzwonek, oznajmijący koniec pauzy, nie chciał już téj sprawy podnosić. Zresztą i inni koledzy, chociaż go pocieszali, po uroczystym nastroju profesorów przewidywali, że to wszystko może się źle skończyć dla Władzia. Żal im było dobrego koleżki, — nic jednak nie mogli na jego obronę wymyślić, — sami bowiem widzieli, że na ten raz żart był zadaleko posunięty, — tem więcej, że o Ludwisiu nic nie wiedzieli. Władzio bowiem nic im się nie spowiadał ze swoich u Ludwisia odwiedzin.

— Ten *krucha kostka*, ten *novus*, mógłby tylko Władzia ochronić, — mówili sobie jego przyjaciele.

— Ba, a jak się nie wyliże — albo go matusia pod fartuch skryje i więcej do szkoły nie puści! — dodawali inni.

Tymczasem w poniedziałek, akurat we dwa tygodnie po owej smutnej katastrofie zjawił się w klasie Ludwiś. Był bladej, na czole tylko miał ślad niezabliźnionego dotąd przecięcia, oczy mu jednak świeciły się dziwnym blaskiem, a na twarzy miał wyraz energii.

Z Władziem przywitali się jak przyjaciele, zdziwiło to innych, niektórzy nawet wołać zaczęli:

— Novus, novus, chcesz sera! — a masz całe wszystkie gnatki?

Lecz Władzio zawołał:

— Jeżeli kto zaczepi novusa, ja się z nim rozprawię.

Wszyscy się uciszyli na głos dowódcy, tem więcej że



Władzio był siłacz nielada i gdy się z kim wziął za bary, z pewnością przeciwnik musiał mu uleść.

Wszedł też zaraz Pilnowicz, ukazał się dyrektor i kilku profesorów. To niezwykle zebranie zrobiło wrażenie na chłopców, zrobiła się taka cisza iż można było słyszeć oddech każdego i przyspieszone niepokojem kołatanie serca.

Pilnowicz uroczystym głosem zawołał:

— Ludwik Mrukowiecki i Władysław Psotnicki niech wystąpią na środek sali!

Obadwaj chłopcy stanęli na rozkaz.

Wszyscy zwrócili na nich oczy, nie wiedząc co to ma znaczyć, oni sami spojrzeli na siebie, nie domyślając się po co ich wołano.

Ludwiś pogodnym okiem spoglądał na profesorów, Władzio tymczasem stracił swą zwykłą śmiałość i spuściwszy głowę, nie wiedział co zrobić ze sobą. Chwila ta, kiedy wszystkie oczy były na niego zwrócone, była najcięższą karą, a chwila to była dosyć długa, Pilnowicz bowiem czytał formalny akt oskarżenia, przedstawiając straszną winę Władziana.

— Przez zbyt liczne, a niestosowne żarty mógł być życia pozbawić kolegę; przewinienie to przekracza już wszelkie granice, możnaby je niemal nazwać występkiem. Gdyby Ludwik Mrukowiecki był przypłacił życiem, Władysław Psotnicki miałby ciężki wyrzut sumienia, ani jednej chwili spokojnej, bo sumienie wyrzucałoby mu zbrodnię popełnioną. Szczęśliwym trafem, że kolega na którym dopuścił się tak niewczesnego żartu, przypłacił to tylko ciężką chorobą, niemniej jednak wyrządził mu straszną krzywdę. Ludwik Mrukowiecki poniósł stratę nie tylko na zdrowiu; opuścił bowiem nauki, a czas stracony może mu stanąć na przeszkodzie do uzyskania promocji. Czasu straconego nikt nie jest w stanie nagrodzić, im później bowiem który z was skończy szkołę, tem później staje się członkiem społeczeństwa, dla którego każdy z nas winien z pożytkiem pracować. Władysław więc Psotnicki bardzo a bardzo zawinił...

— Tak, bardzo zawinił! — przerwał dyrektor — a jako przeszkadzający innym w nauce i stający się złym przykładem dla swoich współuczniów, skazany został na opuszczenie szkoły.

Tu głos zawiesił.

Władzio spuścił jeszcze więcej głowę, wolałby w tej chwili żeby ziemia się pod nim zapadła. Szmer jakiś głucho przeleciał wśród ławek, gdy nagle Ludwiś postąpiwszy krok naprzód, śmiałym choć wzruszonym odezwał się głosem:

— Panie dyrektorze, przebac, przebac Władziowi!

— Szlachetnie sobie postępujesz, młodzieńcze — rzekł dobrotliwie dyrektor. A gdyby nie to, że i twoja matka prosiła już o przebaczenie, kara musiałaby być spełnioną. Na ten raz jednak po naradzeniu się z szanownymi kolegami — dodał, odwracając się do profesorów, postanowiliśmy zatrzymać Władysława Psotnickiego w szkole pod warunkiem jednakże:

- 1°) że na karę w ciągu bieżącego kwartału nie zasłuży.
- 2°) że w naukach robić będzie większe niż dotąd postępy.
- 3°) że obrażonego publicznie przeprosi.

Po ostatnich wyrazach Ludwiś nie czekając aż Władzio wyciągnie do niego rękę, rzucił się w jego objęcia.

Koledzy nie mogąc utrzymać powagi, krzyknęli:

— Wiwat! i klasnęli kilkakrotnie w dłonie. Na ten radosny wybuch uśmiechnął się dobrotliwie dyrektor i profesorowie, nie skarcili nawet zbyt licznej wesołości, nie chcąc jednak zakłócać zwykłego porządku, dyrektor zawołał:

— Dosyć tego, na miejsca! Wszystko się uciszyło, każdy zajął zwykle swe miejsce, na twarzy zaś Władziana malowało się jakieś niezwykle wzruszenie, ktoś nawet mówił że łzy widział w jego oczach.

## VI.

### CO ON DALEJ ZROBI?

Władzio stał się zupełnie innym; tydzień niespokojnego oczekiwania, a może tydzień, który przeżył w towarzystwie

Ludwisia pod wpływem rozmów z jego matką, stanowczą zrobił w nim zmianę.

Uprosił on korepetytora iż zamiast do niego, przychodził do Ludwisia i tam wspólnie odrabiali lekcje. Zmianę wszyscy we Władziu widzieli, jemu samemu mimo chwilowej troski jaśniej i weselej zaraz było na świecie, oprócz bowiem miłości kolegów zjednywał sobie szacunek profesorów. A jednak wśród największych żartów i figlów, w których zawsze dowodził, często bardzo marszczył czoło i zamyslał się, jakby jakaś głęboka nękała go troska.

I rzeczywiście miał on troskę: tą troską była czerwona książeczka, znaleziona w dniu, w którym powracał po nieszczęśliwym wypadku z Ludwisem. Ogłaszał kilkakrotnie w Kurjerach, nikt się nie zgłosił, rozpytywał kolegów, każdy wzruszał ramionami i przyznawał, że nawet nie chciał by mieć takiej książeczki. Ci co ją widzieli, żartowali sobie z Władziana, że teraz kiedy się właściciel nie znajduje, to Władzio sam powinien zacząć spisywać swoje czyny. Chłopiec nic na to nie odpowiedział, do książeczki jednak często powracał; oglądał ją na wszystkie strony, przekładał kartkę po kartce, jak gdyby szukał, czy na której z nich nie ma adresu właściciela. Najdłużej jednak zatrzymywał się nad kartką zapisaną, wyraził: „Každy ma wady, z których przy pracy łatwo się poprawić może i powinien”, zawsze mu wpadały oczy.

— Poprawić się może... i powinien — myślał sobie. — I musi — dodawał.

A potem znów myślał:

— Żał mi mego imiennika, że nie dostał tej książki, porządny znać chłopak, a jaki szczęśliwy że ma matkę, musi ona być podobna do matki Ludwisiana...

— Ba, i ja pewnie nie byłbym takim złym, żebym miał matkę.

— A ojciec? — zadziwięczało mu w uszach.

— Ojciec? ja go bardzo kocham, ale on taki zajęty, niema czasu, żeby ze mną pogadać... Mówi mi wprawdzie, że powinienem się uczyć, że będę opiekunem siostry, że po nim fabrykę obejmę ale co, kiedy nigdy niema czasu, powie swoje i odchodzi. To rzecz dziwna, że chociażem mężczyzna i powinienem mieć więcej zaufania do ojca, jako do mężczyzny, zdaje mi się, że ze wszystkiego wypowiadałbym się matce; ojcu nie śmiem. — Ot, przed matką Ludwisiana nieraz Bóg wie co powiem, bo palnę i głupstwo, ona się tylko uśmiechnie, czasami zgani, czasem zażartuje ze mnie i wszystko dobrze.

I znów obejrzał książeczkę.

— Szkoda, że ona nie moja! a jednak przywłaszczycie jej sobie nie mogę, muszę znaleźć właściciela — myślał dalej. — W tem przyszła mu myśl.

— Zaniosę Pałce, niech mi poradzi, co z nią zrobić.

Kiedy jednak miał już ją zabrać ze sobą, idąc do klasy, trudno mu się było z tą książką rozstać.

— Kupię sobie taką samą i...

— Et, głupstwo, czyżby mi się chciało zapisywać? nie mam przecież matki, któraby chciała dowiedzieć się, co myślę, przed którą mógłbym wypowiedzieć co myślę.

— Tak, stanowczo zabiorę ją ze sobą, ta książeczka chyba mnie oczarowała, jak to mówią w bajce.

I rzeczywiście wziął książkę i pokazał ją gospodarzowi klasy. Pilnowicz obejrzał ją, odczytał zapisaną kartkę i powiedział, że na razie nie przychodzi mu nikt na myśl, do kogoby ona należała, obiecał jednak, że rozpytywać się będzie o właściciela, ogłosi nawet w klasach, kazał mu jednak książkę u siebie zatrzymać, dodając:

— Szczęśliwy chłopiec, że ma matkę, która do niego tak serdecznie przemawia; żał mi go, że tej książki nie dostał.

— Szczęśliwy! — powtórzył sobie Władzio — prawda, że szczęśliwy! I z pewnym zadowoleniem wziął książkę do domu.

Tymczasem upływały miesiące; po skończonym kwartale Władzio miał tak dobrą cenzurę jak nigdy. Pilnowicz oddając mu ją, życzył z całego serca, żeby następna była rów-



niez dobra. O wydaleniu ze szkoły nikt ani wspomniał. Ostatni kwartał przed wakacjami przyniósł oprócz celujących stopni promocją do klasy następnej.

(d. n.)

## Sprawozdanie z Konkursu.



Nienapróżno „staruszki” nasze tak się dopominały o konkurs: leży oto przed nami czternaście aż wypracowań, nadesłanych przez dawne czytelniczki, a większa ich część dowodzi, że młode główki naszych dziewcząt umieją myśleć samodzielnie, a w młodych sercach spoczywa zasób zdrowia moralnego, które im pozwoli godnie i mężnie obowiązkowi życia podołać.

Piętnaste wypracowanie podpisał dawny czytelnik, o którym to samo, co o jego rówieśni-

cach powiedzieć możemy. Z jaką zaś mówimy to radością, to wie ten, kto patrzył na wzrost roślinek, stanowiących siew przyszości, kto się do ich pielęgnowania przyczyniał słowem serdecznej rady, a gdy mu pięknie rozkwitną, z dumą i wdzięcznością na nie patrzy.

Tak przyjaciele drodzy, wypracowania wasze — *prace* raczej — posiadają nie jednakową wartość literacką: parę z nich zaledwie napisanych jest tak dobrze, że nic im niema do zarzucenia pod względem formy, ale treść wszystkich, prawie świadczy o dobrem, o głębszym zrozumieniu zadania, i to właśnie nadaje wartość istotną waszym utworom, to stanowi poaciechę i chlubę naszą, za to z serca wam dziękujemy.

Jakbyście się zmówiły, wszystkie prawie w Kamienną-Postać widzicie symbol bądź to Ideалу, bądź Prawdy bezwzględnej, bądź to wreszcie Doskonałości Najwyższej, a że miło wam zapewne będzie otrzymać dowód tego mimowolnego spotkania się myśli waszych, przytoczymy tu przeto niektóre ustępy, służące za potwierdzenie słów powyższych.

... „Pod symboliką wdzięczną, a pełną prostoty, pisze 17 ietnia *Sarenka z nad Moroczku*, kryje się myśl szczytna, głęboka, żywotna, z której każdy może wydobyć nietylko zadowolenia i szczęścia zasiew, ale też tajemnicę życia użytecznego i pełnego trudu.

Mieszkańcy tajemniczajęj doliny wśród trosk drobnych i zabiegów o chleb powszedni, zatraciliby rychło wznioślejsze porywy ku ideałowi, gdyby nie Kamienna-Postać. Jedno spojrzenie na ten przedziwny, cudowny twór przyrody, wystarczało do podniesienia myśli i uszlachetnienia duszy, ciągle zapatrywanie się nań rodziło w duszy mądrość najwyższą, a w sercu miłość dla współbraci, duch poświęcenia, nadludzka słodycz i ciche przebaczenie zawsze i za wszystko.”

*Gwiazdka Jerozolimska* licząca lat 17<sup>1/2</sup>, w rozumnie obmyślanem i pięknym językiem wyrażonem opracowaniu tak powiada:

... „Pod Kamienną-Postacią rozumie autor ideał. Możnaby też powiedzieć: Boga, bo jako istota doskonała, ma On identyczne znaczenie. Nazwa *Kamiennej-Postaci* oznacza wiekuistość Boga, olbrzymiość, Jego potęgę; łagodnie uśmiechnięte; — dobrotliwe — rysy; bezgraniczne miłosierdzie; wpływ jej na tych, co ją umiłowali, dobroczynny wpływ wiary i miłości Boga.

... „Kamienną-Postacią jest prawdziwy ideał. Kto jest podobnym do takiego ideału? jak można stać się do niego podobnym? Oto pytania na które odpowiada nowelka”. Takie jest założenie 15 letniego *Bartka*, rozwinięte w dalszym ciągu nadesłanej nam pracy.

„Mnie się zdaje, że autor przez Kamienną-Postać, chce uosobić idealną cnotę i miłość i dowieść, że bez miłości, bez cichej pracy i poświęcenia, ani pieniądz, ani wojna, ani rozum, ani nawet poezya, szczęścia ludziom nie dadzą”. Nam się zaś zdaje, że pisząca te słowa. 12 letni *Błędny Ognik* nie potrzebuje wyrażać obawy, że się „porywa na nie swoje rzeczy”. Stylowi w rzeczy samej brak jeszcze wprawy, bo nawet inaczęj być nie może, (a gdyby było, przypuszczać byśmy musieli pomoc cudzą) ale już samo powyższe zdanie dowodzi, że *Błędny Ognik* zastanawia się poważnie.

... „Ernest, kochając całym sercem Kamienną-Postać, będącą niejako obrazem Boga, starał się być mu choć w części podobnym i daleki od wszelkiej zarozumiałości, doskonałac się ciągle, doszedł do tego, że połączył w sobie wszystkie cnoty, znamionujące prawdziwego chrześcijanina...” *tłomaczy 16 letnia Błada Różyczka*.

16 letnia *Wróżbiarka szczęścia* tak odpowiada: „Kamienna-Postać, to Wszechmocność wiekuista. Ludzkość od swego zarania już duchem odczuwała tę wieczystą istność, w niedoli ziemskiej ciągle za nią tęskniła i oczy zwracała ku Nięj, by ją z wszechświata zwołać na dolinę ziemską. Każdy więc postępowanie w dziedzinie odkryć i wiedzy wstrząsał ludzkością, żądzą i pragnieniem”...

... „Kamienna-Postać przedstawia nam ideał dobroci i rozumu” zdaniem 16 letniej *Carmen*.

16 letnia *Jaskółka z Czerwonej Rusi* nazywa ją „wzorem doskonałości”.

15 letnia *Niezapominajka z nad Warty* widzi w nięj „wyobrażenie Jezusa Chrystusa”; *Lilla Weneda* (17 letnia) „uosobienie cnót wszelakich”.

Oprócz wyżej wymienionych, nadesłały odpowiedzi: *Miernota*, lat 16, *Kulka śniegowa* lat 16, *Kuropatwa z nad Iko-petiu* lat 16, oraz dwie 15 letnie *Topolka z nad Kodemy* i *Babie lato*.

Z pomiędzy prac, z których przytoczyliśmy ustępy, żadna nie jest pozbawioną wartości, już dla tego samego, że jest „pracą”; za najlepszą jednak uważamy tę, pod którą stoi pseudonim 17 letniej *Sarenki z nad Moroczku* i tęj przyznajemy pierwszą nagrodę.

Zrozumienie przedmiotu, wytworna zwięzłość stylu, umięjętność wypowiedzenia wszystkiego co powiedzieć trzeba, a nic więcej nad to, co jest potrzebne, serdeczne jakies ciepło, więcej ze słów z niezwykłą trafnością dobranych, zachowanie logicznego związku myśli, oto zalety, dla których *Sarenka z nad Moroczku* otrzymuje pierwszeństwo.

Za drugą z rzędu pod względem wartości uważamy pracę *Gwiazdki Jerozolimskiej*, liczącej lat 17<sup>1/2</sup>. Dużo w nięj myśli, poczerpniętych zapewne z ksiązek, ale przyswojonych i osobiście *przemysłanych*; pojęcia szlachetne i czyste, język piękny, a całość składa chlubne świadectwo wykształceniu i bystrości umysłu naszej korespondentki, której zarzucimy jedynie brak zwięzłości i prostoty wyrażań.

Jeżeli „*staruszkowie*” mają takie samo jak i „*staruszki*” prawo stawania do konkursu, to wypracowaniu *Bartka* należy się trzecie miejsce w szeregu nagrodzonych.

Dobrze rozumiejąc, „o czym” ma pisać, ułożył sobie dobry plan tego, „co i jak” ma pisać i, ma się rozumieć, napisał dobrze, choć może troszkę za sucho i za chłodno.

Pracy *Błędnego Ognika*, 12 letniego, wyraźnie *dwunastoletniego*, nie powstydziliby się i niejedna szesnastoletnia. Nie podała swego adresu, ani nazwiska i mogliśmy nawet nie wiedzieć, czy chłopcem jest, czy panią, gdyby niektóre wyrażenia nie naprowadziły nas na domysł, że nasz *Błędny Ognik*, tak żywym jaśniejący światelkiem, do żeńskiej końcówki ma prawo.

Wraz z *Błędnym Ognikiem* należy się także zaszczytna wzmianka 16 letniej *Błędnej Różyczce* oraz jęj rówieśnicom, *Carmen*, *Jaskółce z Czerwonej Rusi* i *Wróżbiarce szczęścia*. Ta ostatnia bardzo dobrze uporządkowała argumenty, które popiera swoje założenie, dowodząc przez to umysłu wycwiczonego w myśleniu. Poprawny, poetyczny nawet język jest także





„W on czas dwóch z uczni Jezusa szli tegoż dnia do miasteczka Emaus. A ci rozmawiali z sobą o tem wszystkim, co się było stało. I stało się, że sam Jezus przybliżywszy się szedł z nimi, a oczy ich były zatrzymane, aby Go nie poznali...” (Ewangelia według Ś-go Łukasza r. 24).



zaletą pochwały godną, a pod tym względem należy się pochwała wszystkim, którzy udział brali w niniejszym konkursie.

Redakcyja.

## Z wnętrza kopalni do sklepu jubilera.

Gdyby brylant opowiedzieć sam mógł przygody swoje od chwili, w której wydobędą go z wnętrza kopalni lub znajdą na tak zwanem „polu dyamentowem”, aż do téj, kiedy się ujrzy wystawionym na sprzedaż za szybą jubilerskiego sklepu, do prawdy ciekawa by to była historia.

Ileż to razy przypatrywaliśmy się z podziwem tym wspaniałym drogiem kamieniom, których oszlifowana powierzchnia ciska snop różnokolorowych blasków i strzela ogniami tęczywemi! Zjakimże upodobaniem nabywają je i gromadzą ludzie, którym majątek pozwala zadawać najkosztowniejsze zachcenia! Upodobanie do błyskotek jest tak ogólnem, że nawet dziki mieszkaniec Afryki lub Australii chętnie się stroi w naszyjniki i bransolety z nanizanych, świecących muszelek, lub świetnej barwy nasion, a cywilizowany Europejczyk nauczył się szlifować brylanty i inne drogie kamienie, aby blask ich podnieść i wydobyć z nich owe ognie, których żywość jest najpierwszym warunkiem piękności kamienia.

W dawnych wiekach noszono brylanty nieszlifowane; przed stu laty zaledwie przekonano się, do jakiego blasku doprowadzić je można szlifowaniem i od téj też pory brylanty zostały uznane za najpiękniejsze z drogiej kamieni.

Wydobyty z kopalni brylant, czyli dyament pokryty jest cały nieprzezroczystą skorupą, pod którą kryje się blask jego; w kopalniach brazylijskich brylanty bywają wydobywane ze zwirowatego miału, trochę podobnego do piasku. Tuż obok kopalni wznoszą się szopy, na przedce sklecone z bambusowej trzciny, z dachami narzuconemi długą trawą miejscową, która jako tako broni od palących promieni słonecznych: tam to pracują ludzie, zajmujący się przemywaniem dyamentów pod okiem licznych dozorców, pilnie zważających na każde ich poruszenie. Wzdłuż każdej szopy przeprowadzone są koryta lekko pochyłe, na trzy stopy szerokie, a na dwańście długie, przez które bezustannie przepływa woda i odpływa drugim końcem koryta przez gęsty przetak, przez którego otwory nie przecisnie się najdrobniejszy nawet brylancik. Zanurzwszy ręce w korycie, ludzie przemywający dyamenty, póty grzebią w zwirze i mule, póki nie znajdą kamienia; znalazłszy go, dają znać o tém dozorczy, podnosząc do góry palce wskazujący i wielki, pomiędzy któremi trzymają znaleziony dyament. Dozorca zbliża się, odbiera drogi kamień, waży go w obecności innych dozorców, wciąga w registr wagę jego, kształt, oraz zapisuje dzień i godzinę o której został znaleziony.

Przed laty dwudziestu kilku, przed zniesieniem niewolnictwa, istniał zwyczaj że niewolnik, któremu się udało znaleźć kamień większych niż zwykle rozmiarów, otrzymywał w nagrodę wolność, co się odbywało z wielką uroczystością.

Na cały dzień zawieszano pracę tak w kopalni jak i przy korytach, bohatera uroczystości uwieńczonego kwiatami, prowadzili pod rękę, a potem przy odgłosie śpiewów i wesołych okrzyków na rękach nieśli towarzysze pracy przed oblicze naczelnego dyrektora kopalni, który w obec wszystkich, odczytywał mu głośno akt obdarzający go wolnością.

Większa część dyamentów znalezionych w Brazylii, wysyłaną bywa okrętami do Paryża lub Amsterdamu, gdzie biegli robotnicy obłamują z kamienia zwierzchnią skorupę, a kilku majstrów-szlifierzy naradza się nad najlepszym sposobem oszlifowania go tak, aby mógł się wydać jak najpiękniej. Najpierw należy nadać kamieniowi kształt, co czyni specjalny robotnik, obmurując dyament cementem, poczem brylantem nacina linie, w kierunku której kamień ma być prze-

krojony. Następnie przyłożywszy stalowe ostrze do nacięcia, silnie uderza tylec ostrza malutkim stalowym młoteczkim i tem uderzeniem przecina kamień od razu. Ta przedwstępna czynność jest nader ważną, wymaga bowiem wielkiego doświadczenia i zręczności. Przekrojony jak należy, dyament przechodzi w ręce szlifierza. Ten znowu osadza go w cemencie i pociera o drugi dyament osadzony tak samo, czyniąc to nad małym pudełeczkiem, w które wpada proch brylantowy, potrzebny do ostatecznego wypolerowania brylantu: Dyament dyamentem tylko szlifować można, a odbywa się to tak powoli, że czasem po kilku dniach roboty nie widać jeszcze żadnej zmiany na powierzchni kamienia poddane go szlifowaniu.

Gdy już kamień zostanie oszlifowany, trzeba go jeszcze wypolerować, do czego po raz trzeci osadzają go w cemencie, i przykładają wystającą nad cement powierzchnię do żelaznego koła, które się obraca z nadzwyczajną szybkością i wglądza powierzchnię dyamentu przy pomocy brylantowego proszku i oliwy, ciągle koło zasilającej. Po skończeniu téj czynności dyament staje się brylantem, posiada blask, tak zwaną „wodę” i przechodzi w ręce hurtowego kupca. Od tego już niedaleka droga do sklepu jubilera, który podnosi jeszcze piękność brylantu kosztowną i artystyczną oprawą, jaką nieraz odznaczają się brosze, kolczyki, pierścionki i t. p. rzeczy.

Do największych na świecie brylantów należy „W. ks. Toskański”, który niema równego sobie pod względem czystości blasku i piękności obrobienia. Krąży o nim podanie, że kupiony został we Florencji za bardzo niewielką sumę, w przypuszczeniu, że jest tylko kawałkiem kryształu górskiego.

Pięknym także brylantem jest „Regent”, inaczéj zwany „Pitt” dlatego, że nabyty został przez Tomasza Pitt’a, dziada sławnego ministra Anglii. Był on wtedy gubernatorem w Madrasie i dowiedziawszy się, że jeden z kupców tamtejszych jest posiadaczem bardzo pięknego brylantu, nabył go za sumę 20,000 f. st. (około 160,000 rs.) Wróciwszy do Europy, przekonał się, że dobry zrobił interes, bo dawano mu za brylant 80,000 f. st., których on nie przyjął i ostatecznie sprzedał go za cenę pięć razy wyższą od téj, za jaką go nabył. Klejnot ów przechodził przez rozmaite ręce, aż w końcu nabył go dla Ludwika XV-go ks. orleański, ówczesny Regent Francji za ogromną sumę 135,000 f. st.

„Koh-i-noor” czyli „Góra Światła” jest ozdobą skarbu korony angielskiej. Królowa Wiktorya kazała go oszlifować inaczéj niż był poprzednio, a że robota owa zabierała po dwadzieście godzin pracy przez dni trzydzieści ośm, stąd więc można mieć pojęcie, jak jest zmuśną i powolną.

Sztuka naśladowania brylantów doszła dziś do tak wysokiego stopnia, że nawet najbieglejsi jubilerowie nie zawsze są w stanie rozpoznać, czy brylant jest fałszywym, czy nie. Na wypadek podobnej wątpliwości, jubiler bierze cieniutki drucik i rysuje nim małą płaszczyznę znajdującą się na wierzchu każdego brylantu. Jeżeli brylant jest prawdziwym, drut nie zostawi na nim żadnego śladu, bo brylantu brylant tylko się ima; jeżeli jest naśladowaniem, pozostaje kresa dowodząca, że mniemany drogi kamień niema żadnej wartości.

## W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

Nikomu wszakże nie dokuczało pragnienie tak silnie, jak Józiovi i Morilowi, obaj bowiem niepamiętni na upał, nie oszczędzali wcale sił swoich, przeskakując z głazu na głaz, goniąc się i swawoląc nieustannie.

— Józio, zmęczysz się — upominała miss Oliwia.

— Muszę odprostować kości; ciągle jadę i jadę! Zapomniał bym chyba chodzić, gdybym nie korzystał z dzisiejszej sposobności.



Korzyszał więc z niej dowoli i teraz na wierzchołku góry zmęczony, zziębnięty, oblany potem, leżał obok Morila nie mniej niż on zdyszany.

— Benito! pić! pić! pić! — wołał z rozpaczą prawie, jęł jeszcze usprawiedliwioną, że zjadł był na śniadanie ogromną porcję dobrze osolonego *puchero*, po którym nie chciał już pić czarnej kawy.

— Benito! pić! — powtarzał — nie wytrzymam!

— Wszystko wytrzymać trzeba — odezwał się p. Tadeusz. — Tyle człowiek wart, ile wytrzyma!... — Tak jego uczono w pacholęcych, niedawno minionych latach... Och! dobrze pamiętał tę naukę, słyszaną niejednokrotnie z ust dziada, starca z krzyżami na piersi, który w długim swoim życiu „wytrzymał” mrozy Północy i skwary Hiszpanii, a brzemie smutków i zawodów z pogodnym dźwiękał czołem...

I ze spieczonj skwarem kamiennj pustyni myśl młodzieńca pobiegła do cichego pokoiku, w którym błogosławił go starzec na długą niepowrotną drogę.

Ale smutne marzenia przerwała mu żalosa skarga Józia: „Pić! zlitujcie się, pić!” Ten nie umiał jeszcze *wytrzymać*, i nie dziw... łątwa i lekko płynęło mu dotąd życie, żadną tęsknotą nie zatrute!

— Bądź cierpliwym, Józiu — łagodnie upomniał chłopca p. Tadeusz — pół godziny drogi, a wjedziemy w las.

— A jak w nim wody nie będzie! — jęknął Józio tak żałośnie, aż wzruszony strapieniem jego Moril łeb mu położył na ramieniu, nie uważając na to, że niespodzianym ruchem obudził uspijoną przy swoim boku Morillinę.

— To się zawsze znajdzie coś ochładzającego — odparł p. Tadeusz i odszedłszy na bok, naradzać się o czemś zaczął z Benitem. Niedługo trwała rozmowa: Benito zasłonił ręką oczy od blasku, wpatrzył się wytężonym wzrokiem w zieleniejącą nieopodal las i stanowczym rzekł głosem:

— Proszę wsiadać. Za pół godziny napije się każdy do woli!

Pokrzepiony tą obietnicą, zerwał się Józio ochoczo, miss Oliwia i Lucia, wsiadłszy na wypoczęte trochę muły, i zostawiwszy na górze p. Walerego, który wraz z Tadeuszem i Juaną czekać miał na powrót mułów i dopilnować ponownego ich objuczenia, czworo podróżnych spuszczać się zaczęło z góry.

W połowie pochyłości owiał ich świeży powiew, ciągnący od lasu i orzeźwieni nim, prędko znaleźli się w dolinie i wjechali pod cieniste sklepienie lasu.

— Gdzież woda? — niecierpliwie pytał Józio — czy wiesz gdzie ją znaleźć Benito, czy jęj szukasz dopiero?

— Już ją mam — odparł Indyanin — proszę przygotować kubki

Każdy z jadących miał swój u siodła przytroczony i za ledwie odpiąć go zdążył, już Benito wydobywszy z za pasa ostry swój *machete* (rodzaj noża myśliwskiego) przeciął nim grubą, zwieszającą się z drzewa lianę, a potem szybko odciąwszy spory jęj kawał, podał go miss Oliwii. Zimna, jak kryształ czysta, wyborowego smaku woda w jednj chwili napełniła kubek po brzegi! Z rozkoszą gasili nią wszyscy pragnienie, nawet Moril, który pobiegł był za jadącymi, dostał swoją porcję, którą podał mu Józio w własnym kubku, nawet Morillinie dano do wysiania kawałeczek wododajnej liany.

— A ojciec? a p. Tadeusz i Juana? — upomniała się Lucia o nieobecnych.

Ale nie zapomniał o nich Benito. Odjął przytroczony do siodła dzbanek i w mgnieniu oka, napełniwszy go wodą, okrył go liśćmi, owinał nawet w liście i dał hasło odwrotu.

— Po cóż mamy jechać znowu pod górę? — rzekł Józio — zostaniemy tutaj we troje, czekając na was. Mam strzelbę i w razie niebezpieczeństwa...

Miss Oliwia skończyć mu nawet nie dała, Benito również był temu przeciwny. Ruszyli więc z powrotem pod górę, ale na szczęście ujrzeni cały orszak, spuszczać się już w dolinę i w pół drogi spotkawszy się z jadącymi, uraczyli ich orzeźwiający napojem.

— Skąd wiedziałeś, Benito że znajdziesz tutaj tę lianę? — spytał Józio.

— Nie wiedziałem o niej wcale, a nawet w tej chwili zapominałem zupełnie, że rośnie gdzieś w naszych lasach; przypomniał mi o niej p. Tadeusz. Aż wstyd! cudzy człowiek, a lepiej odemnie wie, gdzie czego szukać w puszczy!

— Patrzcie państwo! a prawil mi morały o wytrzymalosci! — sam do siebie półgłosem rzekł Józio, i co mu się rzadko zdarzało, zamyślił się poważnie o tym charakterze tak niezrozumiałym dla wpół-dziecinnego jeszcze umysłu: wyznającym tak surowe zasady, a tak tkliwym i miękkim, gdy chodziło o przyniesienie komuś ulgi!

— Panie Tadeuszu! — zagadnął, podjeżdżając do młodego nauczyciela — Benito mówi, że od pana się dowiedział o lianie wodę dającej?

— Cóż wtem dziwnego? Odkąd tu jestem, studyuję florę miejscową i z książek traktujących o botanice, dowiedziałem się o istnieniu tej dobroczynnej rośliny. Nie ona jedna dostarcza wody upragnionym podróżnym i na Madagaskarze...

Ale Józio nie miał w tej chwili ochoty słuchać o tem, co na Madagaskarze być może.

— A w pańskim kraju... W kraju mego dziada — poprawił się natychmiast — czy znajdują się także rośliny wodę dające?

— W naszym kraju niema podobnych jak tu upałów i wody jest wszędzie pod dostatkiem, a w lasach naszych zamiast palm i mahoniów, z których zwieszają się liany, stoją:

„Czeremchy, oplatane dzikich chmielów wieńcem,  
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem.

Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce  
Jak do tańca stojące panny i młodzieńce  
W koło pary małżonków...”

Śpiewną, uroczystą melodyą płynął w złotem od słońca powietrzu, wspaniale piękny wiersz poety. Słuchali go wszyscy z zajęciem, choć miss Oliwia nie rozumiała ani słowa, a p. Walery za mało znał język ojca swego, by ocenić całą piękność tej perły poezyi. Dzieciom zato, choć niepoprawnie i obcym akcentem mówiły jeszcze po polsku, zrozumiałym był każdy wyraz hymnu, wyśpiewanego na cześć nieznanj im przyrody północnej.

To też gdy skończywszy umilkł p. Tadeusz, Lucia nigdy nie syta poezyi, wystąpiła z prośbą gorącą:

— Jeszcze p. Tadeuszu, jeszcze!

— Jeszcze! — jak echo powtórzył Józio, tknięty cza-rem mowy, która kołysanką i hymnem bojowym i żalobną pieśnią pogrzebu, objiała się o uszy jego pradziadów.

A p. Tadeusz pomyślawszy chwilę mówił znowu:

„A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni  
Niezapominajki i kaliny rosna,  
Gdzie zbóż falami niwa się czerwieni,  
A bory ęmiają się jedliną i sosną?...”

— Dźwięczną jest mowa wasza — odezwała się miss Oliwia — jędrna, a tak miękie czasami ma tony, że jak skarga za serce chwytają.

— To też słusznie powiedział o niej jeden z celniejszych poetów naszych, że „jak anielskich rąk narzędzie, taka strojna i ograna” — po angielsku już odpowiedział p. Tadeusz, a p. Walery szepnął z żalem:

— Szkoda że nie nauczono mnie jęj w dzieciństwie!

Tak rozmawiając przebyli znaczną część drogi kamiennistj z początku i wąskiej, która wszakże rozszerzając się stopniowo, prowadziła do tak zwanego *camino real*, gościńca królewskiego, pamiętającego czasy panowania Hiszpanów.

Gościniec jakkolwiek także przez puszcę wiodący, łątwym był już do przebycia i zdawało się, że przedostatni dzień podróży, obejdzie się bez żadnej przygody.

O świcie wsiadłszy na muły ruszyła karawana, pełna dobrej myśli, poprzedzana przez wesoło poszczekującego Mo-



riła z małpką na grzbiecie, gdy Juana która od kilku już dni zauważyła, że miss Oliwia ciągle pociera palcami skroń prawą, spytała:

— Co pani jest miss Oliwio?

— Nie wiem Juano, swędzi mnie i boli a czasami zdaje mi się, że mam coś ruszającego się pod skórą.

— *Moyoquile* — stanowczo zawyrokowała Juana — trzeba to wyjąć natychmiast.

— Co to jest „moyoquile” — niespokojnie dopytywała miss Oliwia.

Juana nie umiała objaśnić tego dokładnie: mówiła coś o musze, o robaku, aż wreszcie przywołany p. Tadeusz wytłumaczył, że tak mieszkańcy miejscowi nazywają muchę, bardzo pospolitą w puszczech Guatemali i Meksyku, składającą swe jajko w niedostrzegalnej gołém okiem ranca, którą zadaje żądkiem, podobnym do żądła komara. Ze złożonego pod skórą jajeczka, wykluwa się we właściwym czasie niezmiernie łakoma gąsienica, pożera otaczające ją ciało i staje się w końcu powodem niebezpiecznej i bolesnej rany.

— O! — westchnęła miss Oliwia — to niedobrze!

— Nie potrzebuje się pani obawiać — wtrąciła Juana — ja umiem wyjmować *moyoquile*.

— Jakże to zrobisz?

— Rozetnę nożykiem skórę i wydobędę „robaka”.

— Z pewnością?

— Może miss Oliwia być spokojną, nie pierwszy to raz robić będę. Trzeba tylko zrobić to zaraz, bo im dłużej czekać, tem głębszą ranę wygrzyzie.

Stańło więc na tem, że operacja odbędzie się o zachodzie słońca, wcześniej bowiem miano się dziś zatrzymać na nocleg, aby dać czas Juanie do zajęcia się raną.

Zaledwie stanęła karawana na miejscu, wnet Juana poczyniła potrzebne przygotowania i z nożykiem w ręku stanęła przed miss Oliwią.

Pan Tadeusz proponował wprawdzie, że on, jako były student medycyny, lepiej może od prostej Indyanki, dokona nietrudnej zresztą operacji, ale miss Oliwia nie dała sobie nawet mówić o czemś podobnem

— Juana lepiej zna się na tem od pana — taka była niezmienna jej odpowiedź.

— W jakiejże klinice chirurgicznej uczyła się robić operacje? — z ironią zapytał młody człowiek.

— A pan gdzie miałeś sposobność studyować gąsienice *moyoquile* — odcięła miss Oliwia.

— Umieć przynajmniej skalpel trzymać w ręce.

— O! nie wątpię o tem! dysekowanemi przez pana zwierzętami możnaby zaludnić...

— Szóstą część świata — dokończył Józio, lubiący wtrącić do każdej rozmowy swoje nieproszone trzy grosze.

— Niech i tak będzie! — z lekką urazą oświadczył p. Tadeusz — ustępuję pierwszeństwa Juanie. Czy jej także powierzy pani opatrzenie rany?

— Nie będzie to rana, ale ranka — wymijająco odparła miss Oliwia — Juana musi mieć wypróbowane swoje środki.

Lucia prosiła jak o łaskę, by jej dozwolono być obecna przy operacji, na co ojciec i miss Oliwia zgodzili się chętnie słusznie sądząc, że dziewczynka powinna wcześniej oswoić się z widokiem cierpień, których pielęgnowanie należeć będzie kiedyś do jej obowiązków.

Ze spokojem i wprawą biegłego chirurga zabrała się Juana do dzieła: lewą ręką przycisnęwszy głowę miss Oliwii do wysokiego poręczu składanego krzesła podróżnego, prawą szybko i lekko zrobiła na skroni dwa nacięcia na krzyż i rozchyliwszy brzegi ranki, z której krew dość obficie płynęła wyjęła z niej niewielką, na półtora centymetra długą gąsieniczkę, dość głęboko zarytą już w ciało.

— A teraz, miss Oliwio — rzekła głosem, w którym czuć było tryumf i radość powodzenia — trzeba krew zatamować i ranę opatrzyć.

— Czemże ją Juana opatrzy? — zapewne jakimi ziołami?

— Nie; znam wprawdzie zioła na każdą ranę pomocną ale nie wiem gdzie ich tu szukać. Najlepiej będzie przyłożyć tej wody, *co w nos bije*.

(d. c. n.)

### SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsza z drugą użyźnia w biegu ciągłym kraje,  
Drugiej z pierwszą sąd winnych surowo poddaje.

### ZADANIE KONIKOWE.

ułożyła Malina z nad Wisły.

n	p	d	k	c	e	i	e
r	t	z	d	a	i	w	i
r	i	j	e	s	l	n	t
s	e	c	h	o	d	b	o
e	z	m	o	h	c	w	i
s	e	ą	i	o	n	j	e
e	a	j	n	p	k	e	y
w	e	n	n	e	m	i	e

**Prenumeratorem kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.**

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE ra. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą ra. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego, wiersz p. A. C. — Książeczka Władzia p. Z. Morawską (c. d.) — Sprawozdanie z konkursu. — Chrystus z uczniami idący do Emaus, drzew. — Z wnętrza kopalni do sklepu jubilera. — W dziewiczych lasach Ameryki. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Alleluja, wiersz (z drzew.) — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy, p. A. Do. — Wycieczka do lasu, komedyjka w dwóch odsłonach. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść przez Karolinę Yonge, przekład z angielskiego T. P.



# WIECZORY RODZINNE.

## ALLELUJA.

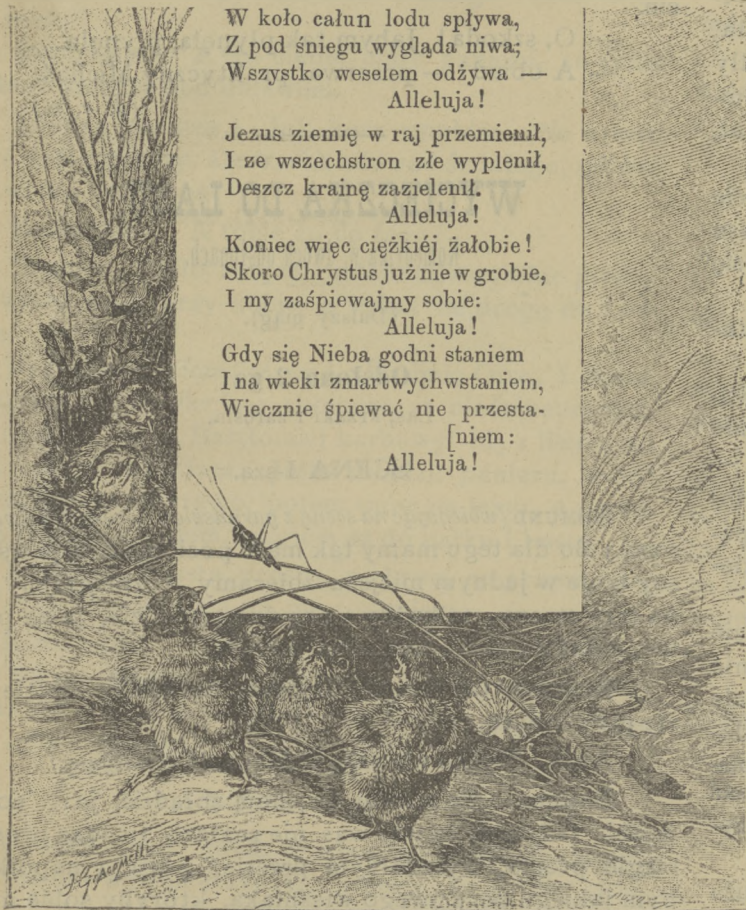
Światu dzień wesoly świta,  
Zbawiciela człowiek wita,  
Wiosna w duszy mu zakwita!  
Alleluja!

W koło całun lodu splywa,  
Z pod śniegu wygląda niwa;  
Wszystko weselem odżywa —  
Alleluja!

Jezus ziemię w raj przemienił,  
I ze wszechstron zle wypenił,  
Deszcz krainę zazielenił.  
Alleluja!

Koniec więc ciężkiej żalobie!  
Skoro Chrystus już nie w grobie,  
I my zaśpiewajmy sobie:  
Alleluja!

Gdy się Nieba godni staniem  
I na wieki zmartwychwstaniem,  
Wiecznie śpiewać nie przesta-  
[niem:  
Alleluja!



norowe miejsce obok furmana na koźle; Antoni palnął z biczem, konie pomknęły żwawym klusem, a w kilka minut potem, już ani turkotu na szosie dosłyszeć nie było można. Lord, który wybiegł za bramę, żegnając odjeżdżających państwa, wrócił powoli, ze spuszczonego ogonem, na zwykłe swe stanowisko przed drzwiami jadalnego pokoju.

## VI.

Nie potrzebuję wam opisywać radosnego powitania Michasia i Lili z naszymi dziećmi; stali oni właśnie pod drzewami z Marcinową, gdy powóz przed kościół zajechał. Wykrzykniki, śmiechy, całusy nie byłyby miały końca, gdyby właśnie trzykrotny odgłos dzwonka, zwiastujący początek sumy, nie położył tamy serdecznym uściskom. Sześciolatek Michaś, z powagą dorosłego kawalera podał rączkę o cały rok młodziej od siebie Helence, Staś i Jerzy równocześnie stanęli przed Lilą, prosząc, by sobie parę wybrała. Sprytna dziewczynka jednak, znając wojownicze usposobienie kuzynków swoich, wiedziała napewno, że i we drzwiach kościoła posturczać się gotowi. Dla świętej zatem zgody stanęła między nimi jak panna młoda wśród družbów i tak pompatycznie, wolnym krokiem maszerowali aż do ławki, zwykle przez rodzinę wuja Karola zajmowanej. Podczas mszy, dzieci pobożnie przez matki chowane, sprawiały się bardzo przykładnie,

Nabożeństwo skończyło się przed dwunastą; dzieci, znużone trochę długim siedzeniem na jednym miejscu, chciały koniecznie piechotą wracać do domu.

— Pozwoliłabym chętnie na ten spacer — odpowiedziała na prośby Jerzego wujenka; — ale... przygotowałam dla was pewną niespodziankę, która właśnie wymaga, byśmy wracali razem.

Dzieci zaciekawione tą obietnicą, bez namysłu wskoczyły do powozu i choć trochę ciasno było, jakoś się wszyscy pomieścili.

— Mamo! jaka to niespodzianka? — pytał Michaś, błagalnym wzrokiem spoglądając na matkę.

— Ach mój Boże! — westchnęła Helenka.

— Mnie się zdaje, że my już ze dwie godziny jedziemy — szepnęła Michaś.

— A mnie tak serce bije, że mówić nawet nie mogę — dodał Staś!

— A to co? Gdzie on jedzie? Zamiast na lewo do Topolówki, skręca na prawo... — spytała cichutka dotąd Lili.

— Pani kazała — lakonicznie odparł Antoni.

## MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNEJ MAMY.

p. A. Dc.

(Dalszy ciąg).

— Ciociu, a gdzie wujaszek? — zapytał Staś, spojrzawszy, jakby szukając po pokoju.

— Wyjechał przed dwoma tygodniami do Lwowa, gdzie ma rozmaite ważne interesa do załatwienia, ale miałam list wczoraj, w którym pisze mi, że najdalej we wtorek, co znaczy pojutrze powróci.

— Proszę pani konie już gotowe — oznajmił Jan służący wchodząc do pokoju.

— A zatem spieszmy żeby się nie spóźnić na sumę — rzekła mama biorąc kapelusz i rękawiczki.

Za chwilę całe towarzystwo rozmawiając wesoło, wsiadło do otwartego powozu wujenki; Jerzy zajął ho-



— Zgadłem ! zgadłem ! Wiwat ! — wykrzyknął tryumfalnie z kozła Jerzy.

— Co zgadłeś? powiedz! — chórem zawołały dzieci.

— Nie widzicie dudki, że zjeżdżamy ku Wiśle?

— No, to co?

— Jeszcze nie wiem napewno, ale może będziemy się kąpali.

— Toś powiedział dopiero terefere kuku! a nasze ubranie kąpielowe w Krakowie — zaśmiał się Staś.

— A nasze w domu — rzekł Michaś.

Tymczasem zjechawszy niedaleko od brzegu Wisły, Antoni zatrzymał konie, Jerzy zeskoczył z kozła, otworzył drzwiczki, obie mamy i reszta dzieci wysiadły z powozu, a wujenka wskazując z uśmiechem na ogromne zawiniątko, które Antoni z pod kozła wyjmował, rzekła do otaczających ją malców:

— Jerzy odgadł pół zagadki, wzięłam w sekrecie z domu ubrania kąpielowe i prześcieradła, a że czasu do obiadu mamy jeszcze dosyć, śmiało więc kąpać się możemy.

— Tak, ale my nie przywieźliśmy z Krakowa naszych koszulek; — szepnęła smutnie Helenka.

— Nie martw się; spodziewając się przybycia waszego na wakacje, przyrządziłam dla wszystkich, nie wyłączając mamy, wspaniałe kostiumy kąpielowe. —

To mówiąc, wujenka rozwiązała pakunek, i wydo była zeń rozmaitej wielkości bluzy z szarego płótna, pasową tasiemką kilka razy u dołu obszyte, z króciutkimi rękawami i czerwonymi paskami.

— A tu macie łydkowe pantofelki, wprawdzie niezbyt eleganckie, ale bardzo praktyczne, bo na dnie rzeki mnóstwo jest drobnych kamyczków; moglibyście się do krwi pokaleczyć. Antoni może już jechać do domu, a powiedzcie tam Józefowi, żeby się spieszył z obiadem. Dziewczynki poszły dalej z mamą, chłopcy zaś wykąpali się pod dozorem wujenki. Gdy już byli wszyscy ubrani, Staś zawołał:

— Patrzajcież łódka jakaś do nas się zbliża. Duża łódka. Co ja widzę! Marcin ze swoim Jaśkiem w niej siedzi.

— I to jest właśnie druga część niespodzianki — przerwała wujenka. — Resztę drogi do Topolówki popłyniemy łodzią i właśnie w tym celu kazałam przyjechać po nas Marcinowi.

— A zmieścimy się wszyscy? — spytała Helenka.

— E, bardzo wygodnie, ta łódź jest na dwanaście osób.

— A nas jest... raz, dwa, trzy, cztery, siedmioro. — porachował Michaś.

— A Macin i Jasiek to dziewięć.

— Proszę podawać ręce Marcinowi i kolejno wskakiwać do łodzi — rzekła wujenka. Już? To dobrze, teraz mamy, a potem wio do Topolówki.

— Czy my już płyniemy? Czy mi się w głowie zawraca? — spytała Helenka — zupełnie mi się zdaje, że stoimy na miejscu a brzegi uciekają.

— A prawda! I mnie się tak samo wydaje — dodała Lili.

— I mnie!

— I mnie!

— Tylko się tak nie kręćcie moje dzieci, bo chociaż miejsca jest dosyć, ale przecież na spacer i tańce trochę zamało. Łódka się przeważa i może być kłopot.

— Ach, jak ślicznie tutaj! Przy brzegu tyle drzew rozmaitych, tam dalej góry widać wyraźnie, a teraz na zakręcie i mogiła Wandy się ukazuje; tyle wsi rozmaitych naokoło... słońce ślicznie świeci, a wcale nie za gorąco!

— Już panicze i panienci za pięć minut będą w ogrodzie — oznajmił wtrącając się do rozmowy Marcin.

— O, szkoda! Jabym tak płynęła, płynęła...

— A obiad? — przerwał praktyczny Michaś.

(d. c. n.)

## WYCIECZKA DO LASU.

Komedyjka w dwóch odsłonach.

(Dalszy ciąg).

### Odsłona 2-ga

Las, krzaki i zarośla.

### SCENA I-sza.

EDMUND (*wbiegając na scenę z garnuszem poziomek mówi za sceną.*) Bo dla tego mamy tak mało poziomek, że je wszyscy troje w jednym miejscu zbieramy, rozbiegnijmy się na trzy strony, to każdy z nas dużo znajdzie, ja na prawo, Adaś na lewo, Lucynka wprost.

LUCYNKA (*za sceną.*) Dobrze, dobrze, a zejdziemy się przy krzyżu.

ADAŚ. Tylko nie zbłądź Mundziu (*odbiegają.*)

EDMUND. Co znowu, ja mam zbłądzić, ja... co za myśl! Gdybym nawet was nie znalazł, to idąc prosto, ciągle prosto, wyszedłbym przecież z lasu i napotkałbym jakiego pocziwego wieśniaka, któryby sobie miał za szczęście odprowadzić mnie do dworu. A potem chciałbym zostać sam jeden, abym doświadczył swęj odwagi, bo nieraz dawałem jej dowody, wszak wujaszek to mówił. Naprzód, sypiam sam w pokoju, tem nie każdy chłopczyk w moim wieku pochwalić się może, chodzę do gimnazjum aż przez dwie ulice, a idę tak śmiało, jak jaki uczeń z czwartej klasy, umiem pływać, i w gimnazjum wchodzę na najwyższą drabinę (*z przekonaniem.*) Odważny jestem z pewnością, i dla tego pójdę dalej, i nabieram dużo poziomek, a nawet i grzybów jeśli je znajdę (*oddala się na prawo, wraca z lewej strony, ogląda się.*)

Doprawdy, zdaje mi się, że już byłem w tem samym miejscu. A to śliczna historia, kręcić się w kółko, i nie posuwać dalej. Mój Boże, co ja zrobię, tam mokro, jakieś trzęsawisko, mrówki na około, tu zarośla, może w nich żmije i węże! Boję się... doprawdy boję, mogę się do tego przyznać, bo sam jestem, będę wołać, może mnie usłyszą, (*krzyczy.*) Lucynko! Adasiu! (*słucha*) ani słowa, (*krzyczy*) Hop, hop. (*Gruby głos odpowiada*) hop, hop! (*mówi*) Boże mój, co za straszny głos, przed chwilą byłem tak nierozsądny, że o zbójcy śpiewałem i może ja-



kiego wywołałem z lasu. Och! jak ja się boję. I jest czego się bać, idzie jakiś człowiek taki ogromny, z kijem w ręku, co tu począć, gdzie uciekać? (*chce się schować za drzewo, Bartłomiej wchodzi.*)

SCENA 2-ga

EDMUND, BARTŁOMIEJ.

BARTŁOMIEJ (*z dużym kijem w ręku.*) Kto się tu odzywał? (*ogłada się.*) Czy to ty malcze?

EDMUND (*z dumą.*) Malcze? Do kogo tak mówisz, człowieku?

BARTŁOMIEJ. A do ciebie mały paniczu, co stoisz jak kura zmokła pod drzewem.

EDMUND (*obrażony.*) Jak kura zmokła. (*Na stronie*) Co za zbój straszny, ale trzeba udawać śmiałego, (*głośno*) Człowieku kto jesteś?

BARTŁOMIEJ. A tobie co do tego?

EDMUND. Jeśliś zbójca, oddam ci wszystkie pieniądze które mam przy sobie, a wskaż mi drogę do Ładnowa.

BARTŁOMIEJ (*żegnając się.*) W imię Ojca, i Syna, i Ducha Ś-go! co pleciesz chłopcze za niedorzeczności, ja zbójca?... Ja... Bartłomiej karbowy! Idę z listem do pana rządcy z Zacisza. Jeśliś zbłądził paniczu, to idź prosto, potem na prawo, potem znów na lewo, a potem krętą ścieżką, ciągiem, ciągiem aż do parku i basta.

EDMUND. I basta, prosto, na lewo, na prawo, krętą ścieżką i basta, nic a nic nie rozumiem.

BARTŁOMIEJ. A ja nie mam czasu inaczey tłómaczyć bo się spieszę. (*Odchodząc*) o! gdyby mi kto inny, nie taki smarkacz powiedział żem zbójca, to bym mu... (*grozi kijem i wychodzi.*)

SCENA 3-cia

EDMUND (*sam.*) Jakież to gbur ten wieśniak, nawet sobie nie dał wytłómaczyć kto jestem, bo gdyby wiedział... Ale cóż z tego, zawsze pozostałem w tém samym położeniu, bo nie wiem czy na prawo iść, czy na lewo, a już się i ściemniać zaczyna (*patrzy w górę.*) Żebym mógł dojrzeć choć wierzchołek krzyża, gdzieśmy się zejść mieli. Najlepiej pójść prosto... mówią że prosto droga najlepsza (*wychodzi.*)

SCENA 4-ta.

ZOSIA (*wchodzi z garnuszkiem poziomek w ręku.*)  
(*śpiewa.*)

Oj sikorko, sikoreczko,  
Nie ściel gniazdka, kochaneczko,  
Nie ściel blisko nade drogą,  
Bo ci gniazdko popsuc mogą.  
Uściel lepiej tam w gęstwinie,  
Tam w gęstwinie, na leszczynie,  
Gdzie się listek nie zachwieje,  
Nikt się gniazdka nie spodzieje.

Cały garnuszek poziomek jużem nazbierała, będzie matuś kontenta, i powie, że Zośka dobra dziewczyna, bom przecie nie próżniak, alem też porządnie głodna, i spieszyć się muszę do domu, bo tam czeka barszcz i kartofle ze słoniną (*śpiewa*) Oj sikorko, sikoreczko!

SCENA 5-ta.

ZOSIA, EDMUND.

Kto tu tak wyśpiewuje... jakaś kobieta, może cza rownica... (*Zosia odwraca się.*) Niema się czego się lękać. to jakaś dziewczyna (*głośno.*) Pocziwa dziewczeczko powiedz mi, którądy droga do Ładnowa?

ZOSIA (*obrażona.*) Ja nie dziewczeczka... ja się zowie Zosia.

EDMUND. A któż wiedział, że ty się Zosia nazywasz?

ZOSIA. Kiej nie wiedzieliście, toście się mogli zapytać,

EDMUND. No, ale teraz kiedy wiem, to powiedz mi, którądy droga do Ładnowa?

ZOSIA. A bo ja wiem.

EDMUND. A skądżeś ty?

ZOSIA. Z Zacisza.

EDMUND. Co ja tu pocznę? Chyba będę nocować w lesie!

ZOSIA. To ja ci pokażę gdzie sucho i gdzie najwięcej mchu.

EDWARD (*do siebie.*) Ona do mnie ty mówi, jeśli się nie myślę (*głośno.*) Pocziwa dziewczyno, mów do mnie: panie.

ZOSIA. O! dla Boga jaki mi pan, jeszcze nie odrósł od ziemi. Pan, to ma wąsy, i kapelusz wysoki, i zegarek na łańcuszku (*przypominając sobie*) i rękawiczki, i laskę, i jakieś tam szkiełko wisi na kamizelce, albo siedzi na nosie, (*śmiejąc się.*) A ten w zabłoconych butach, bez kapelusza, bez rękawiczek, coś tak udaje...

EDMUND. (*rozgniewany.*) Dziewczyno, nie zapominaj.

ZOSIA (*rozgniewana.*) Raz już powiedziałam, żem Zosia, nie żadna dziewczyna.

(*d. n.*)

ZAGADKA.

Wprost czytane: kobiety imieniem.

Na wspak będzie — obcem pozdrowieniem.

ŁamigłóWKI zgłoskowój:

ułożył Opoczniak z nad Czarnej dla Bystrego konia.

Z następujących sylab: — wik — i — ka — lu — ra — da — a — sto — tar — nek — ka — nip — bis — wro — wan — sko — po — n — ar — kas ułożyć wyrazy. 1. Ptak najpiękniej śpiewający. 2. Narzędzie kuchenne. 3. Okręt zbudowany przez patriarchy. 4. Wyspa należąca do Japonii. 5. Ptak czczony w starożytności. 6. Ptaszek przyjaciel rolnika. 7. Imię męskie. 8. Jezioro w Azji. 8. Imię żeńskie. Początkowe litery tych wyrazów utworzyć powinny imię układającego łamigłówkę.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11-go.

Sz a r a d y: Gliceryna.

RebusikóW:

1-go. Wierzby nad brzegiem stawów wyrosły.

2-go. Nadużycie swobody jest naganne.



## Skrzynka do listów.

**Halinie.** Rzecz o której mowa, może się przydać z odpowiednimi zmianami, widać w niej pewną zdolność, ale pominąwszy już styl, sama nawet ortografia wiele pozostawia do życzenia. Uczyć się jeszcze trzeba, uczyć, przede wszystkim.

**P. Annie S.** Uczynione nam zapytanie co do podręczników wymaga dłuższej odpowiedzi w liście, prosimy przeto o przysłanie swego pocztowego adresu i nazwiska.

**P. Anieli Pilec. w Biał.** Żądanego początku wysłać nie możemy; całość zaś z przesyłką kosztować będzie kop. 45.

Za Zosię i Stasia modlą się biedne obdarzone od nich dzieci, również jak nieszczęśliwe staruszki w Schronieniu Nauczycielek,

**Maniusi i Julci M.,** serdeczne dzięki za dar dla szpitalika, gdzie chore dzieci zanoszą również modły za tych, którzy im dobrze czynią.

Miło mi zacząć pismo moje od podziękowania. Należy się ono **Polskiej dziewczynie** za datek dla ubogich dzieci, o których pocziwem sercem pamięta. Spełnienia obietnicy czekam z upragnieniem.

Jak możesz nawet przypuszczać **Niezapominajko z nad Warty**, że gniewać się będę na siostrzyczkę, zwracającą się do mnie z zapytaniem? Owszem; chętnie oddaję się na wasze usługi w każdej chwili. Książka, o którą pytasz kosztuje rs. 1, kop. 50.

Owszem **Rotniczanko**, bardzo rada jestem że znajomości z Zaporozcem, tem zaś więcej, że ty, obdarzona tym przydomkiem, nie gniewasz się zań jak widzę. Skąd przypuszczenie „niechęci”, o którą nas tak niesłusznie pomawiasz względem was wszystkich? I jakim-że sposobem mogłabym ją czuć względem ciebie, tak serdecznie odzywającej się do mnie? Książki, które wymieniasz, może ci sprowadzić na żądanie księgarnia Gebethnera i Wolffa; trzeba tylko dokładnie wypisać tytuły dzieł i nazwiska ich autorów.

Życzeniu **Gołąbki z nad Wisły** zadość uczynię.

Ze wszystkich przypuszczeń jakie mnie dochodzą w przedmiocie „Wyspy Atlanty”, twoje tylko jest prawdopodobnem, **Balladyno.** Wypracowania jeszcze nie czytane: wkrótce jednak dowiesz się o wyroku sądu konkursowego, który o ile pamiętam, nigdy nie wypadł bardzo surowo dla ciebie.

Droga **Lilio wodna**, ani wiem jak się to stało żeś nie odebrała odpowiedzi na twoje listy. Redakcja odpowiada dziś od siebie imiennicze twojej, także „Lilii wodnej”, ja zaś specjalnie tobie (Irenko C.) i proponuję czybyś do pseudonymu swego nie dodała określenia, które stanowiłoby różnicę między wami. Za numer Wieczorów należy się kop. 10. Do konkursu zachęcam cię jak najmocniej; temat łatwy i tego rodzaju, że każdą z nas zbliżona obchodzi.

Jakże mi to przyjemnie **Marzanno**, że „jako starszą siostrzyczkę” mnie prosisz o wyświadczenie ci przysługi. Żądane numeru posłano; wraz z niemi ślę ci uścisk serdeczny który jest za twój odpłatą.

Dziesięcioletnia nowa prenumeratorka, **Róża Chrz.** zapytuje czy nie możnaby umieścić drzeworytu przedstawiającego, lasy dziewczęce”. Siostrzyczko mała, nie zawsze może Redakcja czynić zadość wszystkim życzeniom.

Omyliłam się w istocie **Lampo błyskawiczna**, nie miej mi tego za złe.

Tak dawno, tak bardzo dawno nie było już listu od ciebie, **Niezapominajko z Zacisza!** Wynagrodziłaś mi jednak długie milczenie tą miłą poufną odezwą, która maluje mi upodobania twoje i poglądy. Dotrzymaj-że na przyszłość obietnicy zostania „stałą” korespondentką, a zrobisz mi największą przyjemność.

Niemniejszą też zawdzięczam **Kujawiance**, którą mój wiek zgrzybiały nie przeraża. Ta dziesięcioletnia siostrzyczka załączając mi „serdeczny uścisk” za co się takim samym odwiedzam.

Przypuszczenie wyrażone przez **Gołąbkę Heliotropu** jest zupełnie inne niż **Balladyny** i właśnie dla tego nie trafne. Co do

ostatniego tylko nie mylisz się... o ile mi się zdaje — bo i ja także nie znam dalszego ciągu powieści. Pseudonym swój zachowaj jako dawniejsza jego posiadaczka; imienniczka twoja zapewne nie będzie miała nic przeciwko temu, aby do swojego dobrać jakieś określenie. Jak można mnie posądzać że ja się gniewam za „ty”? Przecież siostry tak, a nie inaczej przemawiają do siebie.

**Złota Przedzo** niema marzenia któreby spełnić się nie mogło, jeżeli nad spełnieniem jego usilnie, wytrwale, niezmordowanie pracować będziemy. Ale tyle jest sposobów stania się użyteczną, że tego o którym piszesz, chwycić się można wtedy tylko, gdy się posiada *prawdziwy talent*. Jakaś ty dobra, że skorzystałaś z ostatnich chwil wolnych, ażeby się do mnie odezwać.

Droga moja **Sarenko z nad Moroczku**, prawdziwą przyjemność sprawił mi list twój i to podwójną; raz przez to że *od ciebie* pochodzi, powtóre przez to co w nim piszesz. Miło jest zawsze usłyszeć wyraz zachęty, uznania, bo to zdrowia i „rzeźwości moralnej” dodaje i do dalszej pracy dopomaga. Miło też mi jest i słodko wiedzieć, że za wyznanie wiary, za hasło dobie twego życia przywiecające wzięłaś sobie te piękne słowa poety: „Święć się, święć się, wieku młody!” Tak niech się święci młodości rano, niech przynosi święte natchnienia i świętą moc wytrwania, gdy przyjdzie znojne południe życia.

Sercem podzielałam **Cicha Wodo**, radość która przepelniała twoje serce, gdy się w domu wśród swoich znalazłaś, rozumiem bowiem, jak tęsknić musiałaś. Czyż mogłaś nawet przypuszczać, że opis przysłany mi przez ciebie nie sprawi mi najwyższej przyjemności? Dziś jeszcze dziękuję ci za niego.

**Muszelka z nad Bohu** dowie się już niedługo o rezultacie konkursu, który jak to z przyjemnością widzę, ogólnie się podobał, bo i Białonóżka z pod Karpat z zadowoleniem się o nim wyraża. Wypracowanie twoje nie czytane jeszcze, ale już za to samo co mówisz, że „zrażać się nie trzeba” należy ci się pochwała, którą z prawdziwie siostrzaną przyjemnością udziela ci Białonóżka droga, całym sercem was kochająca.

Gołąbka.

Droga **Jodelko z nad Noteci!** Zaraz odpisuję ci na twój miłutki liścik. Mam lat 12, na imię mi Stefa, i jak ty lubię bardzo muzykę, kwiaty i książki. Gdzie się uczysz? Ja na rok przyszyłam pójdę na pensję do Warszawy. — I owszem, korespondujemy z sobą, Goryczko. Co porabiasz? Ja czytałam teraz z wielkim zajęciem „Doktora Muchołańskiego”. — Stokrotko z nad Stochodu, dawno zbierałam się do ciebie napisać. Mam nadzieję, że mi wszystkie odpisze, a tymczasem całuję was serdecznie. Jaskółce z nad Sekwany, Białej Ostróżce i Kulce śniegowej przesyłam serdeczne uściśnienia. *Światelko.*

Drogi moje i kochane **Zorzo Północna, Czarnotko, Biała Ostróżko i Błada Różyczko!** Z wielką przyjemnością odczytałam liściki wasze. Zorzo kochana, donoszę ci, że mieszkam na wsi i żadnego większego miasta nie znam. — Miłutka Czarnotko, musisz zasługiwać, aby cię kochano. Moje dwie młodsze siostry i ja mamy żywe króliczki, kotkę Burcię i pieska Zipka; zwierzątka te żyją ze sobą w najlepszej zgodzie. — Droga Biała Ostróżko, wkrótce skończę lat 14, nauki lubię w ogóle, ale najwięcej języki; uczyć się po włosku, po angielsku i po niemiecku. Co lubisz najwięcej? Ja czytanie. — Bładą Różyczkę ściska i milion całusów zasyła wam wszystkim kochająca *Sosenka*.

Kochane moje, **Rózo Edenu, Margerito i Brzydotko z nad Tamizy!** Drogie Rózo i Margerito, opiszcie mi co robicie, ile macie lat, jakie lubicie nauki? Bo ja lubię wszystkie, a najwięcej matematykę, fizykę i geografję. Mam nawet zamiar gdy dorosnę, odbyć podróż na około świata, tak jak nasz stryjasek. Więcej szczegółów o mojej osobie dowiedzie się z listów do Wiochny z pod Lublina i Niezapominajki z nad Warty, jeżeli go Redakcja wydrukuje. A ty Brzydotko miła, powiedz mi proszę, jak ci na imię? Całuję was wszystkie serdecznie. *Bluszcz.*

Kochana **Detyno!** Chociaż się bardzo mało znamy, piszę do ciebie z zapytaniem, czy mnie pamiętasz? Nazywałeś się Lina R., i masz braciszka Munia. Poznałyśmy się w S. Proszę, napisz mi prędko, czyś w S. dobrze się bawiła. Ściska cię kochająca *Szarotka*.